

Robert A. Heinlein

Sprzedając słonie

(The Elephant Circuit)

Saturn, October 1957

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the short story "The Elephant Circuit" by Robert Anson Heinlein, first publication in Saturn, October 1957.

Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Deszcz spływał strumieniami po szybie autobusu. John Watts popatrzył przez nią na zewnątrz, na lesiste wzgórza, zadowolony pomimo pogody. Dopóki wszystko się jakoś toczyło, dopóki zmieniał miejsce pobytu, podróżował, ból samotności był nieco lżejszy. Mógł zamknąć oczy i wyobrażać sobie, że Martha siedzi u jego boku.

Zawsze podróżowali razem; urządzili sobie podróż poślubną pokrywającą rewir jego sprzedaży. Z czasem zjeździli teren całego kraju – Droga nr 66 z indiańskimi namiotami obok autostrady, Droga nr 1 prowadząca przez Dystrykt, Pennsylvania Turnpike, wskakująca i wyskakująca z niezliczonych tuneli górskich; on siedział za kółkiem, Martha koło niego, zajmowała się mapami i obliczała odległość do ich następnego przystanku.

Wspominał jak jedna z przyjaciółek Marthy powiedziała kiedyś:

— Ale, moja droga, czy nie jesteś już tym zmęczona?

Niemal słyszał perlisty śmiech Marthy:

— Mając do zobaczenia czterdzieści osiem wielkich i cudownych stanów, miałabym być zmęczona? Poza tym, zawsze dzieje się coś nowego – jarmarki, wystawy i inne rzeczy.

— Ale kiedy widziało się jeden jarmark, to tak jakby widziało się je wszystkie.

— Myślisz, że nie ma różnic między Santa Barbara Fiesta i Fort Worth Fat Stock Show? W każdym bądź razie — mówiła dalej Martha — Johnny i ja jesteśmy prostymi wieśniakami; lubimy gapić się na wysokie budynki, z ustami rozdziawionymi tak bardzo, że aż robią nam się piegi na podniebieniu.

— Bądź rozsądna, Martho. — Kobieta zwróciła się do niego. — John, czy nie nadszedł czas, żebyście gdzieś w końcu osiedli i zrobili coś z waszym życiem?

Tacy ludzie męczyli go.

— To przez oposy — oznajmił jej poważnie. — One lubią podróżować.

— Oposy? O czym on u licha mówi, Martho?

Marta rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie, a potem rzeczowo wyjaśniła:

— Och, przepraszam cię! Widzisz, Johnny hoduje małego oposa w pępku.

— Jestem do tego odpowiednio wyposażony — potwierdził, poklepując się po swym zaokrąglonym brzuchu.

To zamknęło jej usta! Nigdy nie miał cierpliwości do ludzi, którzy szafowali poradami „dla twojego własnego dobra”.

Martha przeczytała gdzieś, że cały miot nowonarodzonych oposiątek mógłby wypełnić co najwyżej łyżeczkę od herbaty, a nawet do sześciorga z maleństw, często zostawało sierotami, ponieważ nie mogły zmieścić się wszystkie w torbie matki. Natychmiast utworzyli Towarzystwo Ratowania i

Wyżywienia Pozostałej Szóstki Oposów, a Johnny został jednogłośnie wybrany – przez Marthę – jako siedziba Miasteczka Oposów Tatusia Johnny’ego.

Mieli również i inne wymaginowane zwierzątka. Martha i on długo mieli nadzieję na dzieci; kiedy się nie pojawiały, ich rodzina zapełniła się niewidzialnymi malutkimi zwierzątkami: Pan Jenkins, mały szary osiołek, który doradzał im w sprawie wyboru moteli, Chipmink, świergocząca wiewiórka mieszkająca w szafce na rękawiczki, *Mus Followalongus* podróżująca z nimi mysz, która nigdy nie odezwała się ani słowem, ale mogła nieoczekiwanie zacząć gryźć, zwłaszcza w miejscu położonym w okolicy kolan Marthy.

Teraz wszystkie one zniknęły; stopniowo rozpływały się w powietrzu z powodu braku energii i wesołości Marthy, jej zaraźliwego ducha, utrzymującego je przy życiu. Nawet Bindlestiffa, który nie był niewidzialny, także z nim już nie było. Bindlestiff był psem, znalezionym koło drogi, daleko na pustyni. Odrobina wody i jedzenia dała im jego ogromne i pozbawione krytycyzmu serce. Od tego czasu Bindlestiff towarzyszył im w podróży, dopóki on także nie odszedł, wkrótce po Marthie.

John Watts zastanawiał się nad Bindlestiffem. Czy włóczył się gdzieś w okolicach Psiej Gwiazdy, w krainie bogatej w króliki i łatwe do znalezienia puszki ze śmieciami? Chociaż pewnie raczej był razem z Marthą, siedział u jej stóp, towarzysząc jej w drodze. Johnny przynajmniej miał taką nadzieję.

Westchnął i odepchnął wspomnienia, skupiając swoją uwagę na pasażerach. Przez przejście między fotelami nachyliła się w jego stronę szczupła, bardzo wiekowa kobieta i spytała:

— Jedzie pan na Wystawę, młody człowieku?

Drgnął. Minęło już dwadzieścia lat odkąd ktoś nazwał go „młodym człowiekiem”.

— Ehem? Tak, oczywiście.

Wszyscy jechali na Wystawę; autobus był specjalny.

— Lubi pan jeździć na jarmarki?

— Bardzo.

Wiedział, że jej błahe uwagi były formalnymi gambitami do rozpoczęcia rozmowy. Nie przyjmował ich z niechęcią; samotne starsze kobiety odczuwały potrzebę rozmowy z nieznanymi – on również. Poza tym, lubił energiczne starsze kobiety. Wydawały mu się one stanowić samą istotę ducha Ameryki, nieodparcie przywodząc na myśl skojarzenia z kościelnymi spotkaniami, kuchniami na farmach – i wozami osadników.

— Ja też lubię jarmarki — mówiła dalej. — Nawet zazwyczaj coś wystawiałam – galaretkę z pigwy i mój motyw dekoracyjny „Przejście Jordanu”.

— Założę się, że ma pani pełno niebieskich wstążek dla zwycięzców.

— Tak jakby — przyznała. — Przede wszystkim jednak, po prostu lubię jeździć na jarmarki i wystawy. Nazywam się Alma Hill Evans. Mój mąż, miał naprawdę wielkie dokonania w tych sprawach. Weźmy wystawę kiedy otworzyli Kanał Panamski – ale tego nie może pan pamiętać.

John Watts przyznał, że tam go nie było.

— No cóż, w każdym bądź razie, nie była ona wcale lepsza niż inne. Jarmark z roku '93, to byłby jarmark dla pana! Żaden inny nie dorasta mu nawet do pięt.

— Chyba, że ten obecny?

— Ten? Bzdura i zawracanie głowy! Rozmiar, to nie wszystko.

Ogólno-Amerykańska Wystawa, była pewnie największym tego rodzaju wydarzeniem do tej pory – i najlepszym. Gdyby tylko towarzyszyła mu Martha, byłoby jak w niebie. Starsza pani zmieniła temat.

— Pan jest chyba komiwojażerem, nieprawdaż?

Zawahał się, a potem odpowiedział:

— Tak.

— Zawsze to rozpoznam. W jakiej branży pan działa, młody człowieku? Wahał się nieco dłużej, a potem stanowczo odparł:

— Moja działka, to słonie.

Popatrzyła na niego ostro i chciał już zacząć wyjaśniać, ale lojalność względem Marthy spowodowała, że trzymał usta na kłódkę. Martha nalegała, aby traktowali swoje zapowiedzi poważnie, nigdy niczego nie wyjaśniając, nigdy nie przepraszając. Zaczęli o tym rozmawiać, kiedy planował przejście na emeryturę; dyskutowali o kupieniu akra ziemi i robieniu czegoś użytecznego z rzodkiewkami, królikami lub innymi tego rodzaju rzeczami. Potem, w czasie ich ostatniej podróży na jego trasie sprzedaży, Martha oznajmiła po dłuższej chwili milczenia:

— John, ty nie chcesz przestać podróżować.

— Co? Nie chcę? Chodzi ci o to, że powinniśmy zatrzymać nasz rewir?

— Nie, z tym już koniec. Ale też, nie osiadziemy w jednym miejscu.

— Co więc chciałabyś zrobić? Tylko wędrować przed siebie, jak jacyś Cyganie?

— Niezupełnie. Myślę, że potrzebujemy jakiejś nowej branży do naszego biznesu obwoźnego.

— Maszyny? Buty? Dla pań, od stóp do głów?

— Nie. — Przerwała, żeby pomyśleć. — Powinniśmy coś rozwozić. To by dało podstawę uzasadnienia dla twojego wędrownego stylu życia. Myślę, że to powinno być coś, co zbyt szybko się nie sprzedaje, tak żebyśmy mogli mieć naprawdę ogromny okrąg, powiedzmy całe Stany Zjednoczone.

— Może statki wojenne?

— Statki wojenne nie wchodzi w rachubę, ale coś blisko tego. — Wtedy minęli stodołę z postrzępionym afiszem cyrkowym. — Już mam! — wykrzyknęła. — Słonie.

— Słonie, hmm? Raczej trudno będzie przewozić próbki.

— Nie musimy tego robić. Każdy wie, jak wygląda słoń. Prawda, Panie Jenkins?

Niewidzialna wiewiórka zgodziła się z Martha, tak jak zawsze; sprawa była załatwiona.

Martha już wiedziała, jak do tego podejść.

— Najpierw przeprowadzimy badanie rynku. Zanim staniemy się gotowi do przyjmowania zamówień, trzeba będzie przeczesać całe Stany Zjednoczone, od jednego krańca, do drugiego.

Przez dziesięć lat prowadzili badania. Była to wymówka do tego by odwiedzić każdy jarmark, zoo, wystawę, pokaz towarów, cyrk, czy nawet wystawę galaretek – wszędzie. Czyż przecież nie byli to potencjalni klienci? Nawet parki narodowe i inne cuda natury zostały włączone do badania, ponieważ trudno było powiedzieć, gdzie może pojawić się nagła paląca potrzeba posiadania słonia. Martha traktowała całą sprawę ze śmiertelnie poważną twarzą i utrzymywała poznaczone oślimi uszami notatnik: „La Brea Tar Pits, Los Angeles – nadwyżka słoni przestarzałego rodzaju, mniej więcej 25 000 lat temu.” „Filadelfia – sprzedaż co najmniej sześciu dla Union League.” „Zoo Brookfield, Chicago – Słonie afrykańskie, rzadkie.” „Gallup, Nowy Meksyk – kamienne słonie na wschód od miasteczka, bardzo piękne.” „Riverside, Kalifornia, Sklep z przyborami fryzjerskimi dla słoni – namówić właściciela do kupienia maskotek.” „Portland, Oregon – wypytać Douglas Fir Association. Wyrecytować *Drogę do Mandalay*. Parę dla Southern Pine Group. Nota bene wymaga to podróży nad Zatokę Meksykańską zaraz jak tylko skończymy z rodeo w Laramie.”

Dziesięć lat i cieszyli się każdą pokonaną przy tej okazji miłą. Badanie było ciągle niezakończone, kiedy Martha odeszła. John zastanawiał się, czy wierciła dziurę w brzuchu Świętemu Piotrowi, na temat sytuacji ze słoniami w Niebie. Założyłby się o piąta, że tak.

Ale nie mógł przyznać się obcej osobie, że ten biznes obwoźny ze słoniami, był po prostu wymówką jego żony, żeby mogli podróżować sobie po całym ukochanym przez siebie kraju.

Starsza kobieta nie naciskała w tej sprawie.

— Znałam kiedyś człowieka, który sprzedawał mangusty — oznajmiła radośnie. — Albo to były ichneumony? Pracował w biznesie eksterminacyjnym i... co ten kierowca wyprawia?

Wielki autobus jechał bez problemów, pomimo ulewnego deszczu. Teraz jednak gwałtownie skręcił, zarzucił. Zakołysał się szaleńczo – i rozbił się.

John Watts huknął głową o znajdujące się przed nim siedzenie. Podnosił się właśnie, oszołomiony, nie bardzo wiedząc gdzie jest, kiedy wysoki, pewny siebie sopran pani Evans pozwolił mu odzyskać orientację.

— Hej, ludzie, nie ma się czym za bardzo podniecać. Trzeba się było z tym liczyć – a jak widzicie, nikomu się nic nie stało.

John Watts przyznał, że przynajmniej on sam wyszedł z tego bez szwanku. Rozejrzał się dokoła spojrzeniem krótkowidza, a następnie zaczął macać po przechylonej podłodze, w poszukiwaniu swoich okularów.

Znalazł je, były połamane. Wzruszył ramionami i odłożył je na bok; kiedy dotrą na miejsce, będzie mógł wyjąć zapasową parę ze swoich bagaży.

— A teraz zobaczmy co się stało — mówiła dalej pani Evans. — Chodź ze mną, młody człowieku.

Posłusznie udał się za nią.

Prawe koło autobusu wygięło się fantazyjnie o wysoki krawężnik, na zwężeniu przy podjeździe do mostu. Kierowca stał na deszczu, obmywając sobie rozcięcie na policzku.

— Nic nie mogłem zrobić — powtarzał. — Przez drogę przebiegł pies i próbowałem go ominąć.

— Mógł pan nas zabić! — poskarżyła się jedna z kobiet.

— Nie ma co się skarżyć, skoro nic się pani nie stało — poradziła jej pani Evans. — A teraz wracajmy do autobusu, a pan kierowca zadzwoni po kogoś, żeby nas stąd zabrał.

John Watts zatrzymał się chwilę, aby rzucić okiem na kanion, nad którym rozpościerał się most. Grunt opadał stromo; niemalże dokładnie pod nimi widać było ogromne, paskudnie wyglądające skały. Wzdrygnął się i wrócił do autobusu.

Zapasowy samochód dotarł po nich bardzo szybko, chyba że odrobinę przysnął. Raczej to drugie, zdecydował, ponieważ deszcz przestał już padać i przez chmury przebijało się słońce. Nowy kierowca wsadził głowę w drzwi i wrzasnął:

— No dalej, ludzie! Nie traćmy czasu! Wysiadać z tego wozu i ładować się do mnie.

W pośpiechu John potknął się, wchodząc do autobusu. Nowy kierowca podał mu rękę.

— Nerwy, tatuśku? Pewnie trochę roztrzęsiony?

— Wszystko ze mną w porządku, dzięki.

— No pewnie, że tak. Lepiej niż kiedykolwiek.

Znalazł siedzenie koło pani Evans, która uśmiechnęła się do niego i powiedziała.

— Czyż to nie cudowny dzień?

Zgodził się z nią. To był piękny dzień, zwłaszcza teraz, kiedy burza już ucichła. Wielkie wełniste obłoki pędziły po ciepłym, niebieskim niebie, zapach czystej, mokrej ziemi wypełniał pola i zielone kępy roślinności – rozłożył się wygodnie w fotelu i smakował go. Kiedy nasiąkał nim po czubek głowy, na wschodnim niebie uformowała się i zajaśniała ogromna podwójna tęcza. Popatrzył na oba łuki i wypowiedział dwa życzenia, jedno dla siebie, a drugie dla Marthy. Kolory tęcz zdawały się odbijać we wszystkim co widział wokół siebie. Teraz, kiedy zaświeciło słońce, nawet pozostali pasażerowie wyglądali na młodszych, bardziej szczęśliwych, lepiej ubranych. Poczuł się lżej na sercu, niemalże wyzwolony ze swej piekającej samotności.

Dojechali na miejsce błyskawicznie; ich nowy kierowca nadrobił stracony wcześniej czas, nawet z nawiązką. Nad drogą rozpościerał się ogromny łuk z napisem: OGÓLNO-AMERYKAŃSKI POKAZ I WYSTAWA SZTUKI, a pod spodem: POKÓJ I ŻYCZLIWOŚĆ DLA WSZYSTKICH. Przejechali pod nim i zatrzymali się z sapnięciem amortyzatorów.

Pani Evans podskoczyła.

— Mam randkę – muszę biec! — Podeszła do drzwi, a potem krzyknęła spod nich: — Zobaczymy się gdzieś tutaj, młody człowieku — i zniknęła w tłumie.

John Watts wysiadł jako ostatni i odwrócił się aby porozmawiać z kierowcą.

— Ehm... hmm... co do mojego bagażu. Chciałbym...

Kierowca uruchomił już ponownie silnik.

— Proszę się nie martwić o bagaż — zawołał przez drzwi. — Ktoś się panem zajmie.

Wielki autobus ruszył.

— Ale... — John Watts urwał; autobus już zniknął. Wszystko w porządku, tylko co miał robić bez okularów?

Zza pleców dolatywały odgłosy świętowania, co pomogło mu podjąć decyzję. Pomimo wszystko, pomyślał sobie, wszystko można załatwić jutro. Gdyby coś było za daleko, żebym to dobrze widział, zawsze przecież mogę podejść bliżej. Przyłączył się kolejki przy bramie i wszedł do środka.

Było to bez wątpienia największe widowisko, jakie kiedykolwiek zorganizowano ku uciesze ludzi. Wystawa była dwa razy większa niż inne wielkie imprezy plenerowe, jaśniejsza niż najjaśniejsze światła, nowsza niż wszelkie nowości, oszołamiająca, wspaniała, zapierająca dech w piersiach, wzbudzająca najwyższy respekt, superkolosalna, niewiarygodna... i obiecująca wspaniałą zabawę. Każda społeczność w Ameryce wysłała na to zdumiewające widowisko, wszystko co miała najlepszego. W jednym miejscu zebrane zostały cuda potomków P.T. Barnuma, Ripleya i przede wszystkim Thomasa Edisona. Ze wszystkich krańców wielkiego kontynentu zgromadzono bogactwa urodzajnej ziemi oraz wytwory mądrych i przedsiębiorczych ludzi, razem z ich festiwalami ludowymi, ich rocznymi imprezami, celebracjami i pieczołowicie pielęgnowanymi tradycjami świętowania. Rezultat był tak amerykański, jak truskawkowe kruche ciasto, równie uroczysty jak świąteczna choinka, a wszystko to rozpościerało się przed nim, hałaśliwe, pełne życia, wypełnione tłumem szczęśliwych, rozbawionych ludzi.

Johnny Watts wziął głęboki oddech i zanurkował w to wszystko.

Zaczął od Fort Worth Southwestern Exposition i Fat Stock Show, spędzając godzinę na podziwianiu łagodnych, białogłowych wołów, szerokich i rozłożystych jak potężne ministerialne biurka, wyszorowanych i wypieszczonych, z włosami rozczesanymi starannie od głowy do podstawy kręgosłupa, następnie obejrzał jednodniowe małe, czarne jagnięta na chwiejnych nóżkach, zbyt małe aby wiedziały co się wokół nich dzieje, tłuste owce z szerokimi grzbietami, pouklepywanymi tak by wyglądały na jeszcze bardziej płaskie i grube, przez poważnie spoglądających chłopców, mających ochotę na niebieskie wstążki przyznawane za zwycięstwo. Po sąsiedzku znalazł Pomona Fair, z solidnymi, statecznymi perszeronami oraz drobnymi palomino z Kellog Ranch.

Wyścigi kłusaków. Martha i on zawsze uwielbiali wyścigi kłusaków. Jego oko wychwyciło nieźle wyglądającego konia, z linii słynnego Dana Patcha, obstawił go i wygrał, a potem ruszył dalej, jako że było jeszcze tak wiele do obejrzenia. Inne jarmarki rozmaitych hrabstw, były tuż obok, jabłek z Yakimy, festiwal wiśni z Beaumont i brzoskwiń z Banning w stanie Georgia. Gdzieś za jego plecami zadudniła orkiestra: „Iowa, Iowa, to tam gdzie wysoka kukurydza rośnie!”

Tuż przed nim stał kiosk z różową watą cukrową.

Martha uwielbiała ją. Niezależnie, czy była w Madison Square Garden, czy na jarmarku w Imperial County, zawsze najpierw kierowała swe kroki do budki z watą cukrową. „Największa porcja, co kochanie?” wymruczał do siebie. Czuł, że gdyby rozejrzał się dokoła, zobaczył by ją jak kiwa do niego przytakując głową.

— Dużą watę, poproszę — powiedział do sprzedawcy.

Handlarz, pracownik jarmarku, był starszy wiekiem. Ubrany był we frak i sztywną koszulę. Zebrał różowy obłoczek z dystygowaną gracją.

— Oczywiście, proszę pana, przecież nie ma innych rozmiarów.

Skręcił papierowy rożek, włożył do niego koniec patyczka i wręczył mu go. Johnny podał sprzedawcy pół dolara. Mężczyzna zgiął palce i otworzył dłoń; moneta zniknęła. To zdawało się kończyć sprawę.

— Wata jest po pięćdziesiąt centów? — spytał niepewnie Johnny.

— Absolutnie, nie, proszę pana. — Starszy sprzedawca wyciągnął monetę z klapy Johnny’ego i oddał mu ją. — Na koszt firmy... chyba, już pan się co do tego zorientował. W końcu, czymże są pieniądze.

—No cóż, bardzo dziękuję, ale ehmm, nie do końca „się co do tego zorientowałem”, wie pan.

Starszy człowiek wzruszył ramionami.

— Jeśli woli pan zachować incognito, to kimże ja jestem, aby z panem dyskutować. Ale pieniądze na nic się panu tutaj nie przydadzą.

— Ach, jeśli pan tak mówi.

— Zobacz pan.

Poczuł, że coś ociera mu się o nogi. Był to pies, tej samej rasy, czy też właściwie braku rasy, co Bindlestiff. Właściwie, to wyglądał zdumiewająco podobnie do Bindlestiffa. Pies popatrzył do góry i zakołysał całym swym ciałem.

— No dobrze, cześć, stary! — Poklepał go i – oczy mu zasłyły mgłą. Nawet w dotyku był taki jak Bindlestiff. — Zgubiłeś się, stary? No cóż, to tak jak i ja. Może trzymajmy się razem, co? Jesteś głodny?

Pies polizał mu dłoń. Odwrócił się do sprzedawcy waty cukrowej.

— Gdzie tu można kupić hot dogi?

— Tuż po drugiej stronie alei, proszę pana.

Podziękował mu, zagwizdał na psa i pośpieszył na drugą stronę.

— Pół tuzina hot dogów, proszę.

— Już podaję! Tylko musztarda, czy ze wszystkim?

— Och, przepraszam. Chcę czyste, mają być dla psa.

— Rozumiem. Sekundkę proszę.

Wkrótce miał już w ręku sześć serdelków, zawiniętych w papier.

— Ile płacę?

- Z powinszowaniami, od firmy.
- Przepraszam?
- Każdy pies ma swoje święto. Dzisiaj jest jego.
- Och. No cóż, dziękuję panu.

Zdał sobie sprawę z narastającego gdzieś za nim hałasu i podniecenia i rozejrzał się dokoła. Zobaczył napływające ulicą pierwsze platformy i szeregi ludzi związanych z Priest of Pallas¹ z Kansas City. Jego przyjaciel, pies, również ich zauważył i zaczął szczekać.

— Cicho, stary, cicho.

Zaczął rozwijać mięso. Ktoś po drugiej stronie ulicy zagwizdał; pies popędził między platformy i zniknął. Johnny próbował pobiec za nim, ale powiedziano mu że musi poczekać zanim parada nie przejedzie. Pomiędzy rzędami platform, przelotnie dostrzegł psa obskakującego wokół jakąś kobietę, po drugiej stronie. Z powodu oślepiających strumieni światła rozlewanych przez platformy oraz braku okularów na nosie, nie widział jej wyraźnie, ale oczywiste było, że pies ją zna. Witał się z nią z całym tym wszechogarniającym entuzjazmem, jaki tylko pies jest w stanie z siebie wyrzesać.

Uniósł paczkę i próbował do niej krzyczeć; zamachała w odpowiedzi ręką, lecz głośnie muzyka i hałas tłumu czynił niemożliwym aby byli w stanie siebie usłyszeć. Postanowił na razie cieszyć się paradą, a potem przejść na drugą stronę i spróbować odnaleźć psa i jego panią, zaraz jak tylko przejadą ostatnie platformy.

Wydawało mu się, że jest to najwspanialsza parada Priest of Pallas, jaką kiedykolwiek widział. Jeśli już tak o tym pomyśleć, to parad Priest of Pallas nie było już od całkiem wielu lat. Musieli ożywić ten zwyczaj specjalnie na to wydarzenie.

Czuł się jak w Kansas City – wspaniałym mieście. Nie znał wielu innych, które by lubił równie mocno. Może Seattle. No i, oczywiście, Nowy Orlean.

Duluth... Duluth także było niezłe. I jeszcze Memphis. Chciałby pewnego dnia ruszyć swoim busem z Memphis do Saint Joe, z Natchez do Mobile i wszędzie tam, gdzie zaniosą go wiatry.

Mobile – tam też było miasto.

Parada już go minęła, z rojem czepiających się jej małych chłopców. Ruszył na drugą stronę.

Kobiety już tam nie było. Ani jej, ani psa. Przeszukał okolicę dosyć dokładnie. Żadnego psa. Żadnej kobiety z psem.

Powędrował gdzie go oczy poniosą, bacznie wypatrując kolejnych cudów, ale jego myśli ciągle błądziły wokół psa. Naprawdę był niesamowicie podobny do Bindlestiffa... i chętnie by poznał kobietę, do której należał – każdy kto potrafił pokochać tego rodzaju psa, musiał sam

¹ Priest of Pallas – trwający przez tydzień festiwal w Kansas City, organizowany corocznie w latach 1887-1912 i rewitalizowany na krótko od 1922 do 1924 roku. Jak się nietrudno domyślić, jego motywy opierały się luźno na postaciach z mitologii greckiej (przyp. tłum.).

także być dobrym człowiekiem. Może udałoby się mu kupić jej lody, albo namówić ją do przechadzki razem z nim. Martha by to zaaprobowała, był tego pewny. Martha wiedziała, że nie był zdolny do niczego złego.

W każdym razie, nikt by nie potraktował poważnie takiego małego, grubego człowieczka jak on.

Ale wokół niego działo się zbyt wiele, żeby zamartwiać się tą sprawą. Znalazł się na St. Paul's Winter Carnival, cudownie odtworzonym przy letniej pogodzie, dzięki połączonym wysiłkom Yorku i Amerykanów. Od pięćdziesięciu lat odbywał się w styczniu, a jednak proszę – oto jest, podając sobie dłonie z Pendleton Round-Up, Fresno Raisin Festival i Colonial Week w Annapolis. Zdążył na końcową część rewii na lodzie, był jednak na tyle wcześnie aby obejrzeć jedną ze swoich ulubionych scen, Old Smoothies, którzy zawiesili na tę okazję emeryturę i jeździli równie perfekcyjnie jak zwykle, do melodii *Shine On, Harvest Moon*.

Oczy ponownie mu się zamgliły i nie miało to nic wspólnego z brakiem okularów.

Wychodząc, minął duży znak: SADIE HAWKINS DAY¹ – PUNKT STARTOWY DLA KAWALERÓW. Kusiło go, żeby wziąć udział; być może kobieta z psem będzie wśród samotnych pań. Ale był już trochę zmęczony, a tuż przed nim w plenerze odbywała się jakaś impreza w stylu wesołego miasteczka: przejażdżki na kucykach i diabelskie młyny. W chwilę później znalazł się już na podeście wejściowym i z ulgą wgramolił się do jednej z tych łabędzich gondol, tak chętnie wybieranych przez rodziców rozbawionej młodzieży. Zauważył, że siedzi w niej już jakiś młody człowiek, czytający książkę.

— Och, bardzo przepraszam — powiedział Johnny. — Czy nie przeszkadzam?

— Nie, zupełnie — odparł młodzieniec i odłożył swoją książkę. — Może właśnie, jest pan człowiekiem, którego szukam.

— Czy szuka pan kogoś?

— Tak. Widzi pan, jestem detektywem. Zawsze chciałem być kimś takim, a teraz jestem.

— Naprawdę?

— Tak. Wszyscy w końcu trafiają na te gondole, tak więc czekanie tutaj oszczędza mi sporo kłopotów. Oczywiście, mógłbym pokręcić się gdzieś koło Hollywood and Vine, Time Square, czy Canal Street ale tutaj mogę sobie usiąść i poczytać.

— Jak może pan czytać i jednocześnie kogoś obserwować?

— Ach, dobrze wiem co jest w tej książce... — uniósł ją do góry; było to *Polowanie na Snarka* — ...tak więc mogę spokojnie obserwować okolicę.

Johnny zaczął lubić tego młodego człowieka.

— I jak, kręcą się tu jakieś boojumy?

¹ Amerykańskie wydarzenie towarzyskie i pseudo-święto, polegające na odwróceniu tradycyjnego układu ról damsko-męskich. Zazwyczaj polega ono na organizacji imprez tanecznych, na których panie proszą panów (przyp. tłum.).

— Nie, ponieważ nie zniknęliśmy lekko i w ciszy. Ale, czy zauważylibyśmy to, gdyby tak się stało? Muszę to jeszcze przemyśleć. Czy pan jest również detektywem?

— Nie, ja – ehm – jestem obwoźnym sprzedawcą słoni.

— Fajny zawód. Ale nie znajdzie pan tu zbyt wiele do roboty. My mamy żyrafy... — uniósł głos, przekrzykując tony muzyki wygrywanej na piszczałkach karuzeli i przez cały czas wodził oczyma po okolicy — ... wielbłądy, dwie zebry, mnóstwo koni, ale żadnych słoni. Niech pan nie zapomni oglądać wielkiej parady. Tam będą słonie.

— Och, nigdy bym tego nie przegapił!

— Nie wolno panu. To będzie najcudowniejsza parada wszystkich czasów, tak długa, że nigdy nie minie żadnego konkretnego punktu i każda jej mila wypełniona będzie cudami jeszcze bardziej zdumiewającymi niż poprzednie. Jest pan pewien, że nie jest pan człowiekiem, którego szukam?

— Nie wydaje mi się. Ale proszę posłuchać... co by pan powiedział na odnalezienie w tym tłumie kobiety z psem?

— No cóż, jeśli się tutaj pojawi, dam panu znać. Najlepiej jeśli pójdzie pan na Canal Street. Tak, myślę, że gdybym to ja był kobietą z psem, udałbym się na Canal Street. Kobiety uwielbiają zakładać maski; dzięki temu mogą je zdejmować.

Johnny wstał.

— Jak mogę dostać się na Canal Street?

— Prosto przez Central City, obok gmachu opery, a potem proszę skrócić w prawo koło Rose Bowl. Niech pan wtedy uważa, ponieważ będzie pan przechodził przez kwartał Nebraska z Ak-Sar-Ben w zupełnym rozchwianiu. Wszystko może się zdarzyć. Potem Calaveras County – proszę pamiętać o rogatkach! – i dalej już Canal Street.

— Ogromnie panu dziękuję.

Ruszył we wskazanym kierunku, rozglądając się przez cały czas za kobietą z psem. Tym niemniej ze zdumieniem spoglądał również na rzeczy, które widział przeciskając się przez wesołe tłumy. Widział również i psa, ale był to pies-przewodnik... i wzbudziło to również jego ogromne zdziwienie, ponieważ żywe, jasne oczy jego pana mogły i widziały wszystko co się wokół niego działo, a jednak człowiek i pies podróżowali razem, przy czym człowiek pozwalał psu wybierać drogę, tak jakby każda inna trasa ich podróży była nie do pomyślenia, albo niepożądana przez którekolwiek z nich.

Wkrótce znalazł się na Canal Street, gdzie iluzja była tak kompletna, że trudno mu było uwierzyć, iż nie został przeniesiony do Nowego Orleanu. Karnawał był w pełni rozkwitu; tutaj był Tłusty Czwartek; tłumy były zamaskowane. Kupił maskę od ulicznego sprzedawcy i ruszył dalej.

Poszukiwania wydawały się beznadziejne. Ulica była przepełniona rozbawionymi ludźmi, obserwującymi paradę Krewe of Venus. Trudno było nawet oddychać, a jeszcze trudniej poruszać się i kogoś szukać. Skręcił w

Bourbon Street – cała Dzielnica Francuska została odtworzona – kiedy zobaczył psa.

Był pewien, że to jest pies. Ubrany był w strój clowna i miał na głowie malutki szpiczasty kapelusik, ale wyglądał jak pies. Poprawił się w myślach: wyglądał jak Bindlestiff.

I z wdzięcznością przyjął ofiarowanego mu serdelka.

— Gdzie ona jest, stary?

Pies raz szczeknął i pomknął, kryjąc się w tłumie. Próbował podążać za nim, ale nie był w stanie. Potrzebował więcej miejsca. Jednak nie tracił serca; znalazł psa raz, znajdzie go ponownie. Poza tym to właśnie na balu maskowym po raz pierwszy spotkał Marthę. Ona była pełną gracji Pierrette, on grubym Pierrotem. Razem podziwiali świt, który nadszedł po balu i zanim słońce ponownie zaszło, postanowili się pobrać.

Obserwował tłum, szukając Pierrette, jakoś pewien, że pani psa również będzie miała na sobie ten kostium.

Wszystko na tym jarmarku skłaniało go aby jeszcze więcej myślał o Marthcie, tak jakby było to możliwe. Jak pokonywała z nim jego trasę, jak mieli w zwyczaju wyruszać gdzieś razem, kiedy tylko nadchodziła pora wakacji. Wrzucali do samochodu przewodnik Duncana Hinesa i parę toreb, i dalej w drogę. Martha... siedząca obok niego, a przed nimi ciągnęła się w dal szeroka wstęga otwartej autostrady... śpiewająca ich podróżną piosenkę *America, the Beautiful* i spoglądająca na niego przy słowach: „...twoje alabastrowe miasta lśnią, nietknięte ludzkimi łzami...”.

Kiedyś powiedziała mu, gdy przebijali się przez... gdzie to było? Black Hills? Ozarks? Poconos? Nieważne. Powiedziała:

— Johnny, nigdy nie zostaniesz prezydentem, ani ja Pierwszą Damą, ale założę się, że wiemy więcej o Stanach Zjednoczonych, niż jakikolwiek prezydent w historii. Ci zajęci, potrzebni ludzie, nigdy nie mieli czasu, aby je zobaczyć, nie tak naprawdę.

— To cudowny kraj, kochanie.

— Tak, rzeczywiście. Mogłabym spędzić całą wieczność, tak po prostu podróżując sobie po nim – sprzedając słonie, Johnny, razem z tobą.

Wyciągnął rękę i poklepał ją po kolanie; ciągle pamiętał to uczucie.

Tłumy świętujących w udawanej Francuskiej Dzielnicy znacznie się przerzedziły; wszyscy gdzieś się rozplnęli, kiedy on śnił na jawie.

Zatrzymał jakiegoś rudzielca:

— Gdzie się wszyscy podziali?

— Poszli na paradę, oczywiście.

— Na Wielką Paradę?

— Tak, właśnie się formuje. — Rudzielec ruszył dalej, a on za nim.

Poczuł, że ktoś go ciągnie za rękaw.

— Znalazł ją pan? — To była pani Evans, trochę odmieniona przez przebranie w zakapturzony płaszcz i maseczkę na oczach, i uczipiona ramienia wysokiego i starszego Wuja Sama.

— Hę? Ale przecież witam, pani Evans! Kogo pani miała na myśli?

— Niech pan nie będzie głupi. Znalazł pan ją?

— A skąd pani wie, że ja w ogóle kogoś szukam?

— Oczywiście, że pan szuka. No cóż, proszę szukać dalej. My musimy już iść. — Ruszyli śladem tłumu.

Wielka Parada już się rozpoczęła, zanim dotarł do jej trasy. To nie miało znaczenia, było jeszcze nieskończenie wiele cudowności przed nim. Mijali go Holly, Colorado Boosters, doskonały zespół musztry marszowej Shrinersów. Potem nadeszli Zawołowany Prorok z Khorassan¹ i jego Królowa Miłości i Piękna, prosto ze swej jaskini na dnie Missisipi, ... Anniversary Day Parade z Brooklynu, z dziećmi w wieku szkolnym niosącymi amerykańskie flagi... Rose Parade z Pasadeny, całe mile pokrytych dywanami kwiatów platform ... Indiańskie Powwow z Flagstaff, reprezentujące dwadzieścia dwa plemiona i każdy z uczestników marszu miał na sobie ręcznie wykonaną biżuterię o wartości co najmniej pięciuset dolarów. Po amerykańskich tubylcach nadjechał Buffalo Bill, ze sterzącą kozią bródką, kapeluszem w rękę i powiewającymi na wietrze lokami. Następnie delegacja z Hawajów. Z samym Królem Kamehamehą grającym rolę Alii, Pana Karnawału, z królewskim dystansem, podczas gdy jego poddani z połyskującymi od kropel rosy girlandami kwiatów na szyi kroczyli dumnie za nim, rozsyłając wszystkim pożegnalne aloha.

Nie było końca. Szeregi tancerzy w figuratywnych wiejskich tańcach z Ojai, Cheyenne Mountain, z północnej części stanu Nowy Jork. Damy i dżentelmeni z Annapolis, Cuero, Teksasu, Turkey Trot, wszystkie Krewe i kluby marszowe ze starego Nowego Orleanu, rzędy płonących pochodni, wielcy wysyłający pozdrowienia tłumowi – Król Zulusów, śpiewający razem ze swym brązowym dworem: „Każdy kto był kimś, w to wątpił...”².

Z kolei nadeszła Mummers Parade³ z Filadelfii. Wypełnili oni równymi rzędami całą ulicę, w rytmie „Oh Dem Golden Slippers”. Było w tym coś starszego niż kraj, który miano uczcić; posuwisty jig zamaskowanych tancerzy, krok który był młody, kiedy ludzkość była młoda i po raz pierwszy celebrowała narodziny wiosny. Najpierw szły fantazyjne kluby, których kapitanowie odziani byli w szaty warte królewskiego majątku – lub przynajmniej hipoteki na kamienicę – z pięćdziesięcioma giermkami do niesienia długich trenów. Potem Liberty Clowns i inni komicy, a na końcu upiorne, słodziutkie orkiestry strunowe, doprowadzające swymi nastrojami do łez.

Johnny wrócił myślami do roku 44, kiedy po raz pierwszy widział jak maszerują, wtedy byli to głównie starsi mężczyźni i młodzi chłopcy, ponieważ właściwi „strzelcy” byli na wojnie. I coś, czego nie powinno się oglądać na Broad Street w Filadelfii, w pierwszym dniu stycznia, mężczyźni jadący podczas parady, ponieważ, niech litościwy Bóg nam wybaczy, nie mogli iść.

¹ Veiled Prophet – organizacja społeczna w St. Louis, organizująca doroczny bal. Członek towarzystwa wybrany do przewodniczenia balowi, określany jako "Veiled Prophet of Khorassan", spośród 5 zaproszonych debiutantek jedną koronuje podczas celebracji, na "Queen of Love and Beauty" (przyp. tłum.).

² Cytat z powstałej w 1939 roku amerykańskiej pieśni patriotycznej „Ballad for Americans” (przyp. tłum.).

³ Philadelphia Mummers Parade uważana jest za najstarsze ludowe święto w Stanach Zjednoczonych. XIX-wieczna piosenka „Oh Dem Golden Slippers”, uważana jest za nieoficjalny hymn tego wydarzenia (przyp. tłum.).

Spojrzał ponownie i zobaczył, że rzeczywiście w szeregach maszerujących, widać było samochody – ranni z ostatniej wojny, i jeden z GAR¹, formalne kapelusze, dłonie zaciśnięte na główkach lasek. Johnny wstrzymał oddech i czekał. Kiedy każdy z samochodów zbliżał się do stanowiska jurorów, zatrzymywał się przed nim i wszyscy wysiadali. Jakimś sposobem, pomagając sobie nawzajem, kuśtykali lub przeciągali się przez linię sędziowską o własnych siłach – i duma każdego z klubów pozostawała nienaruszona.

Potem następował kolejny cud – ci ludzie nie wsiadali z powrotem do samochodów, lecz maszerowali dalej Broad Street.

Następnie znalazł się na Hollywood Boulevard, równie prawdziwym jak Santa Claus Lane², w produkcji jeszcze bardziej oszołamiającej, niż fabryka snów próbowała stworzyć kiedykolwiek wcześniej. Pojawiły się tłumnie dziecięce gwiazdy, rozdające prezenty, honory i cukierki dla wszystkich dzieci, również tych całkiem dorosłych. Kiedy w końcu przybyła platforma samego Świętego Mikołaja, była niemalże za duża, żeby ją objąć wzrokiem, prawdziwe lodowe miasto, niemal jak sam Biegun Północny, z Johnem Barrymore i Myszka Miki jadącymi po obu bokach Świętego Mikołaja.

A potem pojawiły się także i słonie.

Wielkie słonie, małe słonie, słonie średnich rozmiarów, od malutkich Dominików do potężnych Jumbo... towarzyszyli im znani ludzie: Chester Conklin, P.T. Barnum, Wallis Beery, Mowgli.

— To — powiedział sobie Johnny, — musi być Ulica Morwowa³.

Po przeciwnej stronie kolumny powstało jakieś zamieszanie; jeden z mężczyzn zaczął się przed czymś opędać. Po chwili, Johnny dostrzegł, że to był – pies. Zagwizdał; zwierzę wydawało się zdezorientowane, potem zauważyło go, pomknęło w jego stronę i skoczyło Johnny'emu w ramiona.

— Zostań ze mną — powiedział do niego Johnny. — Mógłbyś się na to zdecydować.

Pies polizał go po twarzy. Gdzieś zgubił swój strój clowna, ale mała szpiczasta czapeczka ciągle zwisała mu z szyi.

— Gdzie ty się podziewałeś? — spytał Johnny. — I gdzie jest twoja pani?

Zbliżały się ostatnie słonie, trzy idące obok siebie, ciągnące wielki powóz. Od przodu doleciał dźwięk rogu i cała procesja zatrzymała się.

— Dlaczego oni się zatrzymują? — spytał Johnny jednego z sąsiadów.

— Chwileczkę. Zaraz pan zobaczy.

¹ GAR (Grand Army of the Republic) – organizacja weteranów (przyp. tłum.).

² Santa Claus Lane – fikcyjna ulica ze znanej piosenki „Here Comes Santa Claus”.

³ Nawiązanie do książki dla dzieci należącej do kanonu literatury tego gatunku „And to Think That I Saw It on Mulberry Street” („Sam to wszystko widziałem na ulicy Morwowej”) autorstwa Theodora Seussa Geisela. Bohater książki, chłopiec o imieniu Marco widząc konia ciągnącego wóz na ulicy Morwowej, wyobraża sobie serię coraz bardziej rozbuchanych widowiskowych scen, dziejących się wokół konia i wozu (przyp. tłum.).

Wzdłuż kolumny nadszedł z przodu Wielki Marszałek marszu. Jechał na czarnym rumaku i wyglądał niesamowicie dzielnie, w wysokich skórzanych butach, białych obwisłych bryczesach, fraku i kapeluszu na głowie. Rozejrzał się dokoła.

Zatrzymał się wprost przed Johnnym. Johnny przycisnął psa mocniej do siebie. Wielki Marszałek zsiadł z konia i skłonił się. Johnny obejrzał się, żeby zobaczyć, kto za nim stoi. Marszałek zdjął swój jedwabny kapelusz i przeprosił Johnny'ego.

— Czy pan jest Człowiekiem Sprzedającym Słonie? — zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie, a nie pytanie.

— Hę? Tak.

— Pozdrawiam Waszą Królewską Mość! Jej Wysokość, Królowa, i cały dwór, oczekują na Waszą Królewską Mość.

Mężczyzna wykręcił się lekko, jakby zapraszając do pójścia za nim.

Johnny przełknął ślinę i złapał Bindlestiffa pod jedno ramię. Marszałek poprowadził go do eleganckiego powozu. Pies wyslizgnął mu się spod ręki i wskoczył na powóz, prosto na kolana siedzącej w nim damy. Poklepała go i popatrzyła dumnym, szczęśliwym spojrzeniem na Johnny'ego Wattsa.

— Cześć, Johnny! Witaj w domu, kochanie!

— Martha! — wyszłochał – i król zaczął gramolić się na powóz, żeby wziąć w ramiona swoją królową.

Z przodu zabrzmiał dwukrotny głos rogu, parada ruszyła ponownie, zmierzając w swą niekończącą się drogę...

KONIEC